

Nowa sztuka Iwaszkiewicza

Jarosław Iwaszkiewicz: „Kosmogonia”. Opowiadanie w 2 aktach. Reżyseria: Józef Gruda, scenografia: Stanisław Bąkowski. Prapremiera (Scena Kame-ralna) w Warszawie.

„To coś z literatury” mówi jedna z postaci najnowszej sztuki Iwaszkiewicza; na co odpowiada jej druga: „coś z literatury i coś z życia”. Zgoda. „Kosmogonia” to istotnie sztuka z natchnień literackich, przemysłów, doświadczeń, filozofii i moralistyki literackiej, a zarazem próba wkomponowania rozmyślań i wniosków z całego życia w dramat o formule realistycznej i treści życiowej podług wzorów utrwalo-nych i niezawodnych. Litera-tura i życie — czyż dla pisa-rzy nie jest to jedno i to samo?

Kosmogonia — dydaktyczny mit o powstaniu świata, a mo-że przerażone spojrzenie w obroty ciał niebieskich i przede wszystkim, w losy człowieka, gatunku ludzkiego, zagrożonego zagładą. Iwaszkiewicz, zatroskany o właściwe rozumienie jego słów i rozważań, poprze-dził „Kosmogonię” uwagami „O mojej sztuce” (druk w „Kalen-darzu Teatru Polskiego”). Na półtorzej stroniczce druku świa-tny pisarz włączyć powiedział o własnym utworze niż zawodo-wy krytyk; i dlatego uważam, że do tych odautorskich gloss należy przede wszystkim na-wiazać.

Czym jest — formalnie — „Kosmogonia”? Jeżeli pisarz tak doświadczony i wytraw-ny jak autor „Lata w Nohant”, daje swemu nowemu utworowi objaśnienie nazywając je „o-

powiadaniem” — wie co czyni. Dostrzega sam, że w materii utworu zespoliły się pierwiastki dramatyczne z epickimi, nie za-wsze na korzyść dramatu, że „Kosmogonia” wspiera się na fundamentach przeniesionych z sąsiedztwa. „Kosmogonia” jest właściwie epilogiem — drama-tycznym epilogiem — pewnych tragicznych wydarzeń, które zawiązały się w przeszłości i poniekąd już w przeszłości rozwiązały. To jest koncepcja epicka, w stylu przypominają-cym u nas dramaty Nalkow-skiej. Nie kryje, że wołę — o-bracając się ciągle w kręgu utworów realistycznych — kon-strukcję dramatyczną innego typu.

Iwaszkiewicz zdaje sobie nie-wątpliwie sprawę z pewnej staroświeckości, pewnej niedzi-siejszości „Kosmogonii”, cho-ciaż wspomina się w sztuce aktualnie o wojnie wietnam-skiej. Czy to urok czy słabość „Kosmogonii”. W niemodnym fraku dyplomata wielkiego państwa będzie wyglądać re-prezentacyjnie. Iwaszkiewicz reprezentuje wielkie państwo pisarskie. Jest w pełni sił fi-zycznych i duchowych. Dlatego niech mi wybaczy, gdy po-wiem, że jego powoływanie się na „starczy pesymizm” jest swoistą kokieterią. „Na zakoń-czenie mojego żywota literac-kiego”. Kto to mówi? Spodzie-wamy się od Iwaszkiewicza

jeszcze wielu podobnych „za-kończeń”. Pisarz jest w for-mie i w życiu tkwi po uszy. Pytania o rzeczy ostateczne: o sens życia, o śmierć — owszem, to przystoi młodym, początku-jącym, tak samo jak starym (niewczesne słowo), dokonują-cym rozrachunku. Zjawisko śmierci nęka dziś wielu, i gdy Iwaszkiewicz mówi o własnej obsesji, przypominają się Beckett czy Ionesco, także ob-sesyjni, także wciąż w rozterce i zafascynowaniu kresem istnienia.

Od Ionesco wstecz ku jakim katastrofistom? Niewątpliwie związek Iwaszkiewicza z młoin-ą epoką są nie do zerwania, inaczej o współczesnym nam świecie mówi człowiek, który w latach hitlerowskich był dzieckiem, a inaczej czło-wiek, który z osobistych doznań pamięta obie wojny światowe i narodziny nowego porządku na wschodzie Europy, na wschodzie, z którym Iwasz-kiewicz był zawsze uczuciowo mocniej związany niż z kra-jami zachodu, Italią, Francją czy Danią. W „Kosmogonii”, stanowiącej jakby katalog głów-nych motywów iwaszkiewi-czowskich przejawiają się wpływy modernizmu, sięgające wstecz do Młodej Polski: na-strój buduje Iwaszkiewicz środ-kami, pospolitymi w czasach Skamandra, które dziś trochę zaskakują.

Iwaszkiewicz jest przede wszystkim poetą. Poezja to jest budowa pięknych zdań, ktoś głosił w czasie międzywojna-mi. Piękno prozy Iwaszkiewi-

cza jest znane. Nie sprawdza się ono w dramacie tak jak w epice. Wolny od poetyzowania w „Lecie w Nohant”, nie jest od nich wolny język ani „Ko-chanków z Werony” sprzed lat 40 ani tegorocznej „Kosmogoni”. Jest to język bogaty we wszystkie barwy polszczyzny; ale z oporami sceniczny: bo na scenie się jednak mówi to, co autor tak ozdobnie napisał („koguty już śpiewały” wyraża się wiejska gospodyni).

Ale ja tu o formie i stylu, a co z filozofią, z właściwą ideą „Kosmogonii”? Iwaszkiewicz odsyła do egzystencjalizmu i filozofii rozpaczcy, do lęku atomowego, jest to zresztą nie in-ny pesymizm niż ten z schopenhauerowskich lat nauki pi-sarza. Od Schopenhauera po Kierkegaarda — sam Iwaszkie-wicz wskazuje na te filiacje. Wzbogaca je odraza do filozo-fii nadczłowieczeństwa, tak bli-skiej czasom, które pisarz prze-żył.

Więc sztuka „czarna”? Jest trup na scenie (trup serio) i mowa o paru trupach z prze-szłości, ludzi, zabitych w wa-runkach, które potępiają ży-wych. Ani chybi, czern. Z czte-rech, występujących w „Kos-mogonii” osób, każda jest ob-ciążona grzechami przeciw za-sadom społeczności ludzkiej. Nieudany artysta Seweryn — najgorszy są tacy nieudani arty-ści, którym się bóg wie co wy-daje — uzurpuje sobie prawo życia i śmierci nad młodzień-cem, którego kocha miłością nie tylko braterską. Wiktor i Rena ugrzęźli w swoim egoiz-mie, winni zmarnowanemu ży-ciu Seweryna. O Balladynie po-co w ogóle mówić: to typ katy-linarny, ze swoimi ziemskimi pragnieniami i niewyżytymi miłościami: w wytworzeniu się manowców myślowych Sewe-ryna, które popychają go do „filozoficznej zbrodni”, ma swój niemały udział.

Nie jestem zbudowany rezyste-ry JÓZEFA GRUDY w prapremiero-wym przedstawieniu „Kosmogonii”. Reżyser słuchał wskazówek Iwasz-kiewicza, dał głos autorowi, a nie sobie — to dobrze. Ale pietyzm dla wybitnego pisarza nie powinien był mu jednak przeszkodzić w do-konaniu pewnych skrótów, które zarówno w pierwszym jak w dru-gim akcie wyszłyby scenicznej ekspozycji na dobre. Iwaszkiewicz jest miejscami zbyt po epice roz-mowny i dygresyjny, w paru kwestiach mniej zręczny, reżyse-rze mógł to zauważyć.

Dwóch braci w sztuce grają MI-CHAŁ PAWLICKI i WIENCYZ-SŁAW GLIŃSKI. Grają swobodnie, z tą umiędzielną prowadzenia dialogu, która cechuje, powinna cechować dobrych aktorów. Wik-tor jest trochę niedorysowaną po-stacią, Seweryn trochę przeryso-wana. Obaj aktorzy zbliżyli się po bratersku do siebie. Obciążające wyznania Seweryna ku końcowi sztuki starał się Pawlicki zagrać w ten sposób, by nie kwalifiko-wały pacjenta do leczenia zamknię-tego.

Aktorka, Rena, w interpretacji JANINY ROMANÓWNY, jest taka jak ją widział autor, Romanówna nie pierwszy raz wcieliła postacie z dramatów Iwaszkiewicza. Rena jest pewna siebie w świecie sztuki, a zagubiona i trochę bezradna w tragicznych węzłach życia osobi-atego. Jedno jest pewne: Rena o-trząśnie się raczej przedziej niż póź-niej z szoku, w jaki ją wtrąciły obłędne zwierzenia Seweryna; nowa rola będzie ważniejszym przeżyciem, zwłaszcza, że tych ról coraz mniej.

W tym domu ustronnym, śródleś-nym, w którym rozgrywa się akcja „Kosmogonii”, zdziaczała gospody-nie o przeszłości Balladyna gra ZOFIA MAŁYŃCZ. Jest w miarę wulgarna, w miarę demoniczna, bywały takie kobiety w modernie, żona Wyspiańskiego przychodzi na myśl, wójtowa z Węgrzec. Ma-lyńcz daje obraz kobiety żywio-łowej i zarazem rodzajowej. Gra świetnie, nawet gada trochę ze starochlopska, wysiłek aktorki w rodzaju odmiennym niż jej inne znakomite role, jest widoczny i godzien szacunku. A jednak nie uwierzyłem w chłopskość tej Bal-ladyny, zanadto jest zewnętrzna.

Iwaszkiewicz rzadko wzboga-ca teatr polski nowymi sztu-kami. „Kosmogonia” włącza się w teatr Jarosława Iwaszkiewi-cza pozycją znamienią, obok której nikt nie będzie mógł przeżyć obojętnie.